

# KONTYNENTY

Opowieści  
podróżne

40  
2/2023



ISSN 2084-9915  
9 772084 991307 02

## W wydaniu „Kontynentów” wspierają nas

militaria.pl



Muzeum Azji i Pacyfiku  
w Warszawie



Noir sur Blanc



Polska Akcja Humanitarna



Rituals



i przede wszystkim Wy,  
nasi Czytelnicy

patronite.pl



Dziękujemy!  
Zespół „Kontynentów”

NR 40



[facebook.com/magazynkontyenty/](https://facebook.com/magazynkontyenty/)



[www.magazynkontyenty.pl](http://www.magazynkontyenty.pl)



[www.instagram.com/magazyn\\_kontyenty](https://www.instagram.com/magazyn_kontyenty)



[twitter.com/kontyentymag](https://twitter.com/kontyentymag)

**Redaktor naczelny:**

Dariusz Fedor

**Zastępca redaktora naczelnego:**

Tomasz Fedor

**Dyrektor artystyczny:**

Grzegorz Sufa-Chrostowski

**Reklamy:**

Agnieszka Wojciechowska

**Wydawca:**

Oficyna Wydawnicza Kontyenty  
[redakcja@magazynkontyenty.pl](mailto:redakcja@magazynkontyenty.pl)

**Druk:**

PRINT GROUP  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością  
ul. Księcia Witolda 7-9  
71-063 Szczecin

ISSN 9772084991307:02

Copyright © Oficyna Wydawnicza  
Kontyenty 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie  
odpowiada za treść zamieszczonych reklam.  
Reklamy na str.: II, III i IV okł.

**Nakład:**

1000 egzemplarzy,  
dodatkowo wersja cyfrowa

**Fotografia na okładce:**

Kobieta z wachlarzem malowanym  
w kwiaty śliwy, północne Chiny,  
późny okres dynastii Qing. Obiekt  
z wystawy czasowej „Odbicia Piękna.  
Chińskie malarstwo na szkłe z kolekcji  
Mei Lin” dostępnej w dniach  
27.10.2023–21.04.2024 w Muzeum  
Azji i Pacyfiku im. Andrzeja Wawrzy-  
niaka w Warszawie przy ul. Sołec 24.



INSPIRACJE

# Spis treści

- 9 **SŁOWO WSTĘPNE REDAKTORA NACZELNEGO**
- RAPORT Z WNĘTRZA WYDARZEŃ**
- 14 **HELENA KRAJEWSKA (PAH)**, MAROKO. NIE MOGŁEM OTWORZYĆ DRZWI
- GALERIA**
- 24 **ANDRZEJ STRUMIŁO**, PORTRETY AZJATYCKIE
- POLSKA**
- 26 **DARIUSZ FEDOR**, OPOWIASTKI WEEKENDOWE. ŚCIEŻKI WARMIŃSKIE
- 54 **MAX CEGIELSKI**, JOSEPH CONRAD, KONGO I USTRZYKI, CZYLI POLOWANIE NA GRUBEGO ZWIERZA
- EUROPA**
- 64 **ZUZANNA CICHOCKA**, SŁOWENIA. PO SŁONECZNEJ STRONIE ALP
- 72 **TOMASZ FEDOR**, WŁOCHY. VOLTERRA NIEŚPIESZNIE
- 74 **AGNIESZKA BOJANOWSKA**, SZWECJA-FINLANDIA. ROWEREM I PROMEM PRZEZ BAŁTYCKIE ARCHIPELAGI
- 82 **JĘDRZEJ JÓZEFOWICZ**, GRENLANDIA. ARCTIC CIRCLE TRAIL, CZYLI TAM I Z POWROTEM
- 90 IGLOO, PSIE ZAPRZĘGI I INNE STEREOTYPY GRENLANDZKIE. Z **ADAMEM JARNIEWSKIM** ROZMAWIA **ROBERT MAZUREK**
- Azja**
- 102 **STASIA BUDZISZ**, KARABACH. ŚWIAT, KTÓREGO JUŻ NIE MA
- 110 **KINGA NETTMANN-MULTANOWSKA**, TBILISI. SŁOWNICZEK ZNALEZIONY W SKUPIE MAKULATURY
- 132 **NASTASSJA MARTIN**, KAMCZATKA. WSIO BUDIET CHOROSZO

- 144 **ŁUKASZ KOCEWIAK**, AFGANISTAN. SAYED ZAPUŚCIŁ BRODĘ  
154 **JOLANTA SUSZKO-ADAMCZEWSKA**, JORDANIA. PETRA,  
OSIOŁKA I JA  
166 **RAFIK SCHAMI**, SYRIA. PRZEPOWIEDNIA SPRZEDAWCY  
SŁODYCZY ALBO DLACZEGO PEWIEN CHIŃCZYK MÓWIŁ  
O TRZĘSIENIU ZIEMI

#### AFRYKA

- 178 **MICHAŁ KACZMAREK**, TANZANIA. TARANGIRE,  
KOŚĆ SŁONIOWA I BAOBABY  
208 **LUCJAN BUCHALIK**, POKREWIEŃSTWO ŻARTÓW W AFRYCE.  
RZECZ O BRATERSKIM UBLIŻANIU – I NIE TYLKO

#### AMERYKA

- 226 **MIROŚLAW RAJTER**, PERU. KAMIENNI WOJOWNICY Z SECHÍN  
236 **LUIS SEPULVEDA**, CHILE. AFMAU – SZCZENIACZEK,  
DAR JAGUARA

#### OCEANIA

- 262 **PATRICK DEVILLE**, RAPA NUI. A POZA TYM NIC NA WYSPIE  
SIĘ NIE DZIEJE

## PrzedSIONEK

Po uliczkach Palmy przemykaliśmy chyłkiem – od Tramuntany ciągnęły ciężkie chmury, ulewa wisiała w powietrzu. Czuliśmy, że już za chwilę chłodny wiatr od gór wypchnie lekkie, gorące powietrze z miasta w morze, śpieszyliśmy się. Ledwośmy zdążyli spełnić w konsulacie najważniejszy obywatelski obowiązek roku 2023 (a może nie tylko 2023). Ledwośmy zdążyli szybkie cafe solo przegryźć ensaimadą w cukierence jak z obrazka o pobożnej nazwie „Forn de St. Cristo. Des de 1910” . „Królewska...?” – pomyślałem, gdy mignęło mi (wszak trzeba się było się śpieszyć) słowo „Rei” misternie wpasowane w fasadę nad wysokimi oknami o zielonych framugach. Kawiarenka nie zawiodła, ale słowo „Rei” ze mnie zakpiło. Gdyśmy już syci z niej wychodzili, przyjrzałem się napisowi uważnie. „Clinica Dental I.F. Rey”.

Był 15 października. Trzeba się było śpieszyć. Z nieba zaczęły spadać pierwsze ciężkie krople.

Miasto dziś akurat była areną zmagania maratończyków. Nie mogliśmy iść swoją drogą – foliowa taśma, którą opasano chodniki, zaprowadziła nas prosto do katedry. „Na mszę?” – zapytał grzecznie odzwierny. „Na mszę”. Turystów nie wpuszczał.

Ludzi było mało, dziecięcy chór nabożnie skupiony, ksiądz biskup – spowity dymem z trybularza. Z trzeciego

rzędu po prawej stronie dobrze widziałem to, cośmy ujrzyć chcieli: baldachim nad ołtarzem – dzieło Antonio Gaudiego. Geniusz z Katalonii zamyślił go jako cierniową koronę. I tak mówią o nim przewodniki. O, przewrotności artystycznego patrzenia! Cóż to za symbol cierpienia i ofiary, który – cały w kolorowych światełkach – jak stroik bożonarodzeniowy nad świątecznym stołem wygląda? Z sześcioramiennej jego, a nie krągłej, formy, w górę strzelają raczej łodygi kwiatów niż ciernie. A w dół zwisają lampy, które bardziej mi filakterie czy frędzle cyces u żydowskiego szala modlitewnego przypominały niż bolesne kolce. Chciałem je policzyć, bo coś mi się w głowie kołatało, że tych frędzli ma być tyle, ile być powinno, nie mniej, ni więcej, ale w tym migotaniu nie zdołałem. Skierowałem więc wzrok ku ambonie po prawej. A tu ktoś znów do mnie puszczał oko: bo dostojną mównicę przyozdobiono daszkiem z wyobrażeniami – tak jak należy – czterech ewangelistów. Tylko czemu ci święci wychylają swe oblicza z wnęk, które z niczym innym jak budkami suflera mogą się skojarzyć? I czy w dostojnej ciszy świątyni wypada parsknąć śmiechem...?

Msza dobiegała końca, ksiądz biskup – wsparty na pastorał – inicjował modlitwę za Palestynę. Z zewnątrz katedry dobiegały przytłumione odgłosy dopingowania maratończyków, wewnątrz trwało w odwiecznym rytuale. Tam wyścig z czasem, tu czas stoi w miejscu.

Po rozesłaniu chciałem obejść nawę, pójść swoją drogą, ale była odgradzona ozdobnym sznurem, a ten prowadził tylko do przedsionka. Wyjść na zewnątrz było można, ale nikt się nie ważył. Bo musiałby wejść w ścianę deszczu, który przyniosły wreszcie chmury znad Tramuntany. Czasami

żywiół słabł i wtedy ściana zamieniała się w strugi i pasma, które szły raz z góry, raz po skosie, raz niemal w poziomie. Foliowe taśmy grały na wietrze, maratończycy się zmyli. „U drzwi Twoich stoję, Panie” – przywołałem z pamięci i znów się uśmiechnąłem w duchu, bo o stanie nie z tej strony w tej pieśni przecież chodzi. W katedrze w Palmie de Mallorca było jednak jakoś inaczej. Stałem więc w pokorze i rozważałem słowa dobrego mędrca Baal Szem Towa: nie godzi się wychodzić w pośpiechu ze świątyni. Tak, już nie trzeba się było śpieszyć.

PrzedSIONEK: tak będąc o mojej pierwszej (a wierzę, że nie ostatniej), jakże spokojnej i udanej, wizycie na Majorce pamiętał. Bo nic więcej w Palmie już nie robiłem. A miasteczko Chopina i Sand – Valldemossę – też przedSIONKOWO zwiedziłem, uwagę skupiwszy na scenkach z legend o miejscowej świętej Catalinie Thomas. Ceramiczne kafelki z nimi zdobią niemal każde odrzwia w Valldemossie, ale jakoś nikt – poza mną – tych ulicznych komiksów nie studiował. Bo Cala Deia nie pozostanie mi obca, choć minąłem ją, gnany dalej ulewą z Palmy. Ale przecież – przedSIONKOWO – te rajskie zatoczki, widziałem je jak żywe na obrazach w muzeum w Santuario de Lluc. A przed najwyższym szczytem Balearów – Puig Major – zwieńczonym osobliwą budowlą w kształcie białego bąbla, skłoniłem się, stojąc w jego przedSIONKU: najwyższym punkcie niebywale krętej, górskiej drogi do Port de Soller. Szczytu i tak zdobyć się nie da, bo wstęp tam ma tylko wojsko.

Spodobało mi się owo stanie w przedSIONKU. Jest w nim czas i na obietnicę, i na ekscytację, i na wyobraźnię, i na namysł. Czyli to wszystko, czego w podróżowaniu coraz większy deficyt.



W tym numerze „Kontynentów” oprowadzamy po światowych przedsiódkach, sieniach i podróżnych wiatrołapach. Włączymy się za Josephem Conradem po Kongo – i Ustrzykach, wydeptujemy ścieżki na Warmii, wędrujemy po Słowenii, archipelagach bałtyckich, Toskanii, Jordanii, Syrii, Kamczatce, Grenlandii i Afganistanie. Wyprawiamy się do Afryki – na safari, ale też by zgłębić sens braterskiego ubliżania. Poznajemy tajemnice kamiennych wojowników z Peru i codzienność Wysp Wielkanocnych. Studiujemy twarze azjatyckie z portretów Andrzeja Strumiłły. I zaglądamy do wnętrza wydarzeń – w sponiewieranym straszliwym trzęsieniu ziemi Maroku i w państwie, które zostało zlikwidowane: Górskim Karabachu. I uczymy się cierpliwego stania w przedsiódku, w oczekiwaniu na dobry czas.



# Nie mogłem otworzyć drzwi

Helena Krajewska,  
rzeczniczka prasowa Polskiej Akcji Humanitarnej

Marokańskie góry to bezmiar. W szerokich dolinach światło tańczy w pyłe wznoszonym przez samochody i motory, na zboczach tysiące kóz szukają pastwisk, błękitne rzeki zdają się nierzeczywiste, jakby wklejone. A z tego bezmiaru co jakiś czas wysnuwają się nitki zabudowań, pączkują małe wsie, czasem dosłownie jeden dom. I gruzy – wszędzie gruzy

**MOJA RELACJA Z MAROKIEM, A ZWŁASZCZA Z ATLASEM WYSOKIM I GÓRAMI RIFU, SIĘGA SIĘDMIU LAT WSTECZ. TO KRAJ, KTÓRY ZAWSZE BĘDZIE DLA MNIE PACHNIAŁ CYNAMONEM, KMINEM RZYMSKIM I MIĘTĄ.** Zawsze też będzie zadziwiać mnie jego niezwykła różnorodność – od wybrzeży Morza Śródziemnego i Oceanu Spokojnego, przez strzeliste góry czy spokojną Saharę, aż do wielkich miast i maleńkich wsi. A przede wszystkim to właśnie w Maroku zrozumiałam, czym jest bezinteresowna życzliwość i chęć podzielenia się z obcą osobą miejscem przy stole, siedzeniem taksówki i dzbankiem herbaty.

Do Maroka wróciłam nagle i niespodziewanie, po trzęsieniu ziemi, które dotknęło jeden z najpiękniejszych rejonów tego kraju – góry Atlasu Wysokiego. Zamieszkują je w większości przedstawiciele rdzennej ludności Amazigh, na co dzień niewłaściwie i wbrew swojej woli nazywani Berberami. Jest to też jedna z najstarszych, ale i najbardziej dyskryminowanych, marginalizowanych grup społecznych w Afryce Północnej, przez lata pozbawiona możliwości posługiwania się swoim językiem, krzewienia swojej wyjątkowej kultury, wychowywania dzieci w duchu własnych wartości.

## **Maroko użyteczne i bezużyteczne**

Początków tak głębokiej izolacji można szukać przed czasem rządów sułtana Hasana I, gdy Maroko podzieliło się w praktyce na dwa obszary: *bled al-makhzen* i *bled as-siba*. Pierwszy region, w większości, nadmorski, bogacił się na handlu z Europą i żyznych polach uprawnych, podczas



gdy *bled as-siba* pozostawał w zapomnieniu – pustynie, płaskowyże i góry zamieszkiwali głównie Imazighen (liczba mnoga od Amazigh), przedstawiciele innych ludności rdzennych i wolne jednostki, niepoddane niczyjej kontroli. Ludność Amazigh nauczyła się zatem żyć samowystarczalnie, rządzić się według własnych zwyczajów, unikać kontaktów z innymi.

Sytuacja uległa pogorszeniu wraz z nastaniem w XX wieku francuskiego protektoratu (Maroka Francuskiego) i sukcesywnego przejmowania władzy w kraju przez Francuzów (a na południu – Hiszpanów). To wtedy ukuto określenia „Maroko przydatne” i „Maroko nieprzydatne” – nietrudno zgadnąć, do której grupy zaliczono obszary zamieszkiwane przez Imazighen. Ponownie zostały więc uznane za niepotrzebne, za ciężar w perle protektoratu. Z kolei zbrojny opór, który przez dwie dekady stawiali zarówno Francji, jak i Hiszpanii, doprowadził do ich brutalnej pacyfikacji. Obce rządy nie przyniosły też wielu korzyści ludności zamieszkującej „bezużyteczne” terytoria. Prace infrastrukturalne – w tym drogi, tory kolejowe, dworce, systemy irygacyjne – i zdobycze technologii ominęły w znakomitej większości góry Atlasu Wysokiego, podobnie jak wzrost poziomu edukacji czy opieki zdrowotnej. „Maroko nieprzydatne” miało pozostać muzeum, cieszyć oczy swoim orientальnym egzotykiem i nie zostać zepsute modernizacją.

Po uzyskaniu niepodległości w 1956 roku tereny zamieszkiwane przez Imazighen były dalej marginalizowane, z wyjątkiem rozwoju administracji terytorialnej nowego państwa, która miała zwiększyć kontrolę nad nimi. Na kartach historii zapisała się rewolucja w Rifie, która była okrzykiem

rozpaczy przeciwko zapomnieniu i zaniedbaniu. Po zdławieniu ruchów rewolucyjnych w różnych częściach kraju regiony górskie opuściło wielu młodych przedstawicieli społeczności Amazigh, którzy nie widzieli dla siebie przyszłości w „bezużytecznym” Maroku. Pogłębiła się jednocześnie przepaść między tymi dwoma światami, a Imazighen, pozbawieni złudzeń, po raz kolejny zrozumieli, że mogą polegać niemal wyłącznie na pracy własnych rąk.

Wiele zmieniło się od tego czasu – w 2001 roku utworzono Królewski Instytut Kultury Amazigh (IRCAM), w 2011 roku język ludności Amazigh został uznany za oficjalny obok arabskiego. Krytycy twierdzą jednak, że ruchy te, aczkolwiek potrzebne, nie zmieniły statusu gospodarczo-społecznego, ani nie podniosły poziomu życia w trudno dostępnych rejonach górskich w Maroku. Imazighen mają dostęp do ograniczonej liczby szkół i przychodni czy szpitali w najbliższej okolicy, są wykluczeni transportowo, na ogół korzystają z wąskich dróg dość złej jakości, starają się żyć samowystarczalnie, po cichu. W zimie częste są przerwy w dostawie prądu i pokryciu zasięgiem telefonicznym, niektóre miejscowości są też odcinane przez śnieg. Miejscowa ludność utrzymuje się głównie z turystyki (w tym z rzemiosła i prowadzenia wycieczek po górskich szlakach), przetwarzania oliwek, produkcji soli i sprzedaży zbiorów czy przetworów.

Ich zapomnienie i izolację przerwało trzęsienie ziemi o sile 6,8 w skali Richtera, które 8 września, krótko po 23:00 czasu lokalnego, doprowadziło do prawdziwej katastrofy. Ponad 50 tysięcy budynków i ponad 380 tysięcy (choć wskazuje się nawet liczbę 2,8 mln) osób zostało dotkniętych przez

niespotykane w tym rejonie wstrząsy, utrzymujące się także przez kolejne dni i tygodnie. Obrażenia odniosło więcej niż 5,5 tysiąca osób, a śmierć poniosło niemal 3000 osób. Pół miliona mieszkańców musiało opuścić swoje domy. Zarwane drogi, zniszczone mosty, zburzone szkoły i kliniki, wielkie głazy w poprzek drogi czy na środku miejscowości – krajobraz po trzęsieniu przypominał sceny z apokaliptycznego filmu. Wobec tej tragedii wszyscy byli równi. Ale czy na pewno?

### **Dom przestał być bezpieczny**

– Może to i dobrze? Może tak musiało być? – spytał mnie Ahmad, mieszkaniec wsi w rejonie Asni w górach Atlasu Wysokiego. Stał wtedy koło gruzów domu, pod którymi zginęła cała pięćosobowa rodzina. Mama, tata, dwie córki, syn – wymienia. W jego opinii coś tego kalibru musiało się stać, aby ktoś zwrócił uwagę na fatalne warunki, w jakich od dawna żyją Imazighen. Otworzyć oczy, potrząsnąć, wykrzyzczyć prosto w twarz: tu też mieszkają Marokańczycy, Marokanki. – Tak nie można dalej żyć – machnął ręką i poszedł w stronę pękniętej wieżyczki minaretu, najwyższego budynku w okolicy. Pozostałam sama na ulicy, która piętego dnia po trzęsieniu wciąż (albo już?) pachniała intensywnie śmiercią.

Czy tak faktycznie musiało być? Rozmowy, które przez ostatnie dwa tygodnie prowadziłam w marokańskich górach, porażały rozpaczą. Powtarzano jak mantra zdanie: „Nie mogłem otworzyć drzwi”. W tak wielu przypadkach doszło do zapadnięcia się progu, zablokowania zawiasów

czy pęknięcia ramy, że nie znając języka, którym posługują się Imazighen, mogłam już z ich gestów odczytać, co się wydarzyło. Hassan z Marigha Al Oulia szarpał się z klamką, by ocalić rodzinę, w tym ponad 90-letnią matkę, która spała w pokoju obok. Izmaoune z Falghous, po drugiej stronie gór, wybił palec u prawej dłoni i zranił nogę, by przebić się przez drzwi, które miały chronić jego bliskich – a które prawie uniemożliwiły ucieczkę przed sypiącymi się cegłami. – Nie rozumiem, czemu nie chciały się otworzyć. Teraz to już bez znaczenia, a ja wciąż o tym myślę – dodaje. Zdrową ręką obejmuje córkę, Samirę, jego oczy patrzą wciąż w noc, która zmieniała na zawsze ich życie.

Trzęsienie ziemi to bardzo przewrotny rodzaj katastrofy, który odwraca w naszym myśleniu, naszej świadomości coś, co uznawaliśmy za pewnik, że dom to bezpieczne schronienie, przystań, odpoczynek. Hassan określił dom jako muszlę, w której można się schować, jako największy skarb. Stojąc w gruzach swojego skarbu, wciąż z uczuciem patrzył na niebieską farbę na ścianach, słowo Proroka zawieszony nad drzwiami, przewrócony stolik w rogu. – To było dobre życie, spokojne, ciche. To samo mówiła Habiba. Spotkałam ją przed namiotem pośrodku wsi w rejonie Asni, który dzieliła od 1,5 tygodnia z kilkudziesięcioma innymi kobietami i dziećmi. Mieszkała wygodnie we własnym, choć starym, domu – „ale on już nie jest bezpieczny, nie dla mnie”. Bo domy w kilkadziesiąt sekund stały się pułapką, przeszkodą, domy raniły i – zabijały. Przestały chronić, straciły swoją integralność. Teraz jak na złość stoją otwarte, pęknięte, każdemu przechodniowi pokazują, gdzie była łazienka, na jaki kolor pomalowano przedpokój i jakie buty nosili domownicy.

Do tragedii w pewnym stopniu przyczynił się sposób, w jaki stawia się budynki w marokańskich górach. Ściany z cegieł zrobionych z błota, wody i słomy, a łączonych gliną, pod wpływem wstrząsów dosłownie rozsypały się – nie oferując podparcia dla sufitu i grzebiąc pod gruzami mieszkańców. Tradycyjne domy są tańsze, jeśli chodzi o budowę i utrzymanie, pozwalają na łatwiejsze regulowanie temperatury, są przejawem bogatej kultury społeczności Amazigh i wyglądają niezwykle malowniczo na górskich zboczach. Jednak ich niestabilność od lat budziła niepokój ekspertów.

Niektórzy wciąż korzystają ze swoich domów, choć robią to ukradkiem – wbiegają na chwilę, by napaścić wodę do garnka, zwinąć dywany, skorzystać z toalety, naładować telefon. Robią to, jak mówią, bo nie mają wyboru. Choć dom przestał być schronieniem, ściany popękały, a sufit ledwo się trzyma, to właśnie w domu pozostały skrawki ich dawnego życia, z których muszą skorzystać, jeśli chcą żyć choć trochę bardziej normalnie. To kwestia czasu, gdy kolejny wstrząs wtórny na tyle osłabi strukturę budynków, że zawałą się. Ale nie ma innego wyboru.

Habiba z obawą czeka na nadejście zimy, która dla osób w namiotach i uszkodzonych budynkach będzie okrutna. Ten strach jest zresztą wyczuwalny w całym Atlasie Wysokim, nie ukrywa się go, bo też nie ma i po co. Emocje są tu pozornie schowane pod powtarzaniem co chwilę *mashi mushkil* (w marokańskim arabskim: nie ma problemu), jednak wystarczy poskrobać, a otwierają się rany i trauma tamtej tragicznej nocy. Nie sposób zaleczyć ich w tymczasowych schronieniach, w ciągłym stresie o następny posiłek, niewygodzie dzielenia jednej przestrzeni z kilkoma rodzinami.



A czasu przecież i tak nie ma, bo pierwsze deszcze, potem śnieg, dramatycznie pogorszą sytuację ludzi, którzy stracili dach nad głową. Już teraz brakuje ciepłych ubrań, koców, odpowiedniej ilości czystej wody, prądu, podstawowych produktów higienicznych, a nawet toalet – co wydarzy się w zimie, gdy temperatury spadną poniżej 0, a drogi staną się nieprzejezdne? Gdy świat zapomni o tragedii Imazighen?

### **Solidarność czy zapomnienie?**

Dla wielu osób trzęsienie ziemi okazało się jednak kolejnym potwierdzeniem szczerzej serdeczności i solidarności międzyludzkiej, która jest bardzo widoczna w górskich rejonach Maroka. Widziałam to wszędzie, nawet tam, gdzie oczy nie potrafiły przyjąć bezmiaru tragedii, która stała się udziałem mieszkańców. Ta życzliwość poraża, onieśmiela. Rozmawiałam z kilkunastoosobową rodziną, która wskazała mi najbliższy zawalony dom, „tam zginęli nasi bliscy. Opiekujemy się tymi, którzy ocalili”. Okazało się, że ze zmarłymi łączył ich jedynie fakt bycia sąsiadami, choć dla nich była to „przedłużona rodzina”. Oczywiście, że podzieliли się tym, co mieli. W innym przypadku Abdullah, którego rodzinna Marigha Al Oulia w dużej części przestała istnieć, nie wahał się wziąć udziału w organizowaniu dystrybucji w miejscowości oddalonej o dwie godziny drogi – choć dystrybucja w jego wsi miała odbyć się dopiero następnego dnia. Mieszkańcy Tizfrite koło Amizmiz składają wszystkie otrzymane produkty do jednego magazynu, aby sprawiedliwie podzielić je między najbardziej potrzebującymi – kobietami w ciąży, dziećmi, osobami w podeszłym wieku

i z niepełnosprawnościami. We wspomnianej Marigha Al Oulia szybko utworzono sześć grup (od sześciu dużych namiotów) z liderami, którzy dbają o równy dostęp członków grup do pomocy humanitarnej. Podobne przykłady można mnożyć, nie zmienia się jedno – konieczność uwzględnienia każdej osoby, zaopiekowania się najsłabszymi.

W góry przyjeżdżali też Marokańczycy z Marrakeszu, Casablanki, Rabatu, Agadiru, którzy opróżniali półki w supermarketach, aby dowieźć jak najszybciej na miejsce mąkę, materace, mydło. Drogi w góry zostały dosłownie zakorkowane, zwłaszcza że wiele z nich było wciąż zawałonych kamieniami lub przerwanych przez potoki. Skala tej odpowiedzi, płynąca z całego kraju, zaskoczyła organizacje humanitarne i pozarządowe. Imazighen z Atlasu Wysokiego odczuli więc tę solidarność ze strony mieszkańców innych regionów Maroka, być może po raz pierwszy w życiu. Czy to wystarczy, by zasypać przepaść między „użytecznym” i „bezużytecznym” Marokiem? Wiele osób, z którymi rozmawiałam, zadawało sobie też pytanie, czy za wsparciem gotówkowym na odbudowę pójdą też nakłady na infrastrukturę, inwestycje w rozwój rejonu Atlasu Wysokiego, poprawa dostępu do edukacji i ochrony zdrowia w górach. Nie sądzę, by można było już teraz udzielić odpowiedzi, na które czekają ludzie żyjący w zapomnieniu.

*Polska Akcja Humanitarna jako jedyna organizacja z Polski działa bezpośrednio na miejscu trzęsienia ziemi w Maroku. Dzięki pomocy darczyńców z Polski odpowiada na tragedię mieszkańców, zapewniając podstawowe produkty – w tym artykuły higieniczne, koce, żywność – a także wyposażając jedną z tymczasowych przestrzeni do nauki. Obecnie planuje przygotować ofiary katastrofy do miesięcy zimowych poprzez zamówienie jakościowych, ciepłych namiotów odpornych na zmiany temperatury.*

*Działania organizacji można wesprzeć na [www.siepomaga.pl/pah-maroko](http://www.siepomaga.pl/pah-maroko) oraz na stronie PAH: [www.pah.org.pl/wplac](http://www.pah.org.pl/wplac)*



#### **Helena Krajewska**

Od 2022 r. rzeczniczka prasowa Polskiej Akcji Humanitarnej, w organizacji od 2020 r. Uprzednio zatrudniona m.in. w międzynarodowej organizacji regionalnej świadczącej pomoc rozwojową, Unii na rzecz Regionu Morza Śródziemnego. Z wykształcenia latynoamerykaniстка i politolożka ze specjalizacją stosunki międzynarodowe.



A. H. Ram. 76